

CZŁOWIEK jest wolny (...). W człowieku indywidualność dojrzenia do wolności". Te dwa zdania Georga Büchnera, przywoływane kilka razy jak refren, zdają się być tematem wrocławskiego przedstawienia „Woyzecka”.

Tadeusz Minc, który — wbrew stwarzanym pozorom — ma skłonności do pesymizmu, przewidywał, że jego realizacja raczej nie przypadnie do gustu publiczności, a i od krytyki mu się oberwie za przeróbki dokonane w tekście dramatu. Co do publiczności, to się jeszcze okaże, czy Minc ma rację twierdząc, iż „Woyzeck” jakby nie przystawał do wrażliwości słowiańskiej, nie zyskując w tym kręgu kulturowym ani części sławy i wagi, jaką mu się przypisuje w Europie zachodniej.

Co do krytyki, znam przynajmniej jednego takiego, który nie czuje się w teatrze rzecznikiem autora sztuki i toleruje nawet bardzo bezwzględne obchodzenie się z dziełem, jeżeli to czemuś ważnemu służy, ma ręce i nogi, czyli koncepcję i sens. Uprowadzając nieco fakty, pragnę donieść, że nie zaspokoję masochistycznych potrzeb reżysera i ode mnie batów nie otrzyma. Jeśli zaś chodzi o publiczność, nie przewiduję, aby nadmiernie dopisała ta, która lubi łatwą rozrywkę; „Woyzeck” tak w ogóle, a w tym przedstawieniu może jeszcze bardziej niż zwykle, wymaga od odbiorcy pewnej aktywności intelektualnej, o którą ludzium gnuśniejącym przed telewizorami coraz trudniej. Mimo to nie byłbym pesymistą, albowiem zapotrzebowanie na problematykę, którą eksponuje przedstawienie, jakby wzrastało, a przywiązanie do telewizji zmalało. Bądźmy więc, panie Tadeuszu, nieco lepszej myśli.

Ponieważ Büchner rzeczywiście nie należy do twórców powszechnie w Polsce znanych, wypada poświęcić kilka zdań autorowi „Woyzecka”. Żył — niespełna 24 lata — na początku ubiegłego stulecia, w latach 1813-1837. Nieprawdopodobnie i wszechstronnie uzdolniony. W swoim krótkim życiu zdołał uzyskać wybitne sukcesy naukowe w dziedzinie medycyny oraz napisać kilka utworów literackich — które doceniono w pełni dopiero po wielu latach — daleko wyprzedzających jego epokę. Był też działaczem politycznym, ściganym przez władze Hesji, wywrotowcem, autorem hasła: „Pokój chatom! Wojna pałacom!”, współtwórcą Towarzystwa Praw Człowieka, załączka partii politycznej o bardzo radykalnym programie społecznym. O poglądach społecznych autora niech zaświadczy ta oto wypowiedź z jego korespondencji, przytoczona w programie teatralnym:

„Wiemy, czego można spodziewać się po naszych książkach. Wszystkie ustępstwa, na które się zgodzili, wydarto im przeciw siłą. I nawet te ustępstwa rzucili nam jak żebrakowi jałmużnę, jak tanią zabawkę dzieciom, aby lud — ten wieczny gamoń — zapomniał o swojej biedzie i mocno zaciśniętym pasie (...).

Nasze stany krajowe to kpina ze zdrowego rozsądku. Młodym ludziom wspomina się, że chcą użyć przemocy. Czyż jednak nie żyjemy w ciągłym stanie przemocy? Żyjąc w więzieniu, w którym przyszliśmy na świat, nie widzimy już tego, że jesteśmy w lochu, i że skuto nam ręce i nogi i zakneblowano usta. Co nazywacie legalnością? Prawo, które wielką masę obywateli zaprzęga do pluga pańszczyźnianego, aby zaspokoić sprzeczne z naturą potrzeby nieznaczącej, skorumpowanej mniejszości? To prawo, które wraz z ochraniającą je brutalną siłą bagietów oraz głupotą i przebiegłością jego wykonawców jest wiecznym, brutalnym gwałtem, zadawanym sprawiedliwości i zdrowemu rozsądkowi? Będę słowem i ramieniem walczył przeciwko niemu, gdzie tylko będę mógł (...).

Co prawda, zawsze działać będę zgodnie z moimi przekonaniem, ale w ostatnim czasie pojąłem, że tylko masa, działająca pod wpływem konieczności, zdolna jest spowodować przemiany, że wszelkie porządkowania i pomachiwanie ze strony jednostek są daremnym wysiłkiem furiantów. Piszą, a nikt ich nie czyta; wołają — nikt ich nie słucha; wszczynają akcje — nikt im nie pomaga”.

Taki był i tak rozumował 150 lat temu Büchner, dojrzały intelektualista, choć był wówczas młodszy od ostatnich roczników dzisiejszych studentów. Trzeźwy, przenikliwy racjonalizm bije też z jego utworów literackich. Nic dziwnego, że długo pozostawały na obyczajowym i politycznym indeksie. Dzisiaj aż korci, żeby czytać np. „Woyzecka” podług wywicznego schematu, jak to radykalny poeta wystąpił w obronie ciemnego ludu, który nie miał nawet prawa do... moralności. Tyle tylko, że jest to lekcja już dokładnie przerobiona.

I jeżeli teraz wystawia się tę sztukę w teatrze, to przecież nie po to, by pokazać, jak upodlano lud w Górnej Hesji na początku XIX stulecia. Nie ma też dla nas istotnego znaczenia, że tytułowy bohater sztuki nie jest postacią zmyśloną, że istniała kiedyś autentyczna sprawa Woyzecka, który w szale zazdrości zamordował swoją kobietę, a prawnicy, lekarze i publiczność kilka lat dyskutowali, czy skazano go słusznie, czy niesprawiedliwie, skoro zdradzał on pewne objawy zaburzeń psychicznych. Dzisiaj szu-

kamy w „Woyzecku”, jak w całej literaturze klasycznej, treści i diagnoz bardziej uniwersalnych lub akcentujemy te, które są bliższe naszej wrażliwości i naszym czasom.

W wypadku „Woyzecka” istnieją co najmniej dwie tradycyjne szkoły interpretacyjne. Jedna akcentuje konflikt społeczny. Druga wydobywa problematykę filozoficzno-egzystencjalną z rozlicznymi pytaniami o uwarunkowania natury ludzkiej, sens istnienia, granice odpowiedzialności i wolnej woli. W nurcie pierwszym trudno już na podstawie tego utworu powiedzieć coś nowego. Rzeczywistość społeczna dramatu wydaje się do cna przebadana i przejrzysta. Wiadomo i Büchner ukazuje to jednoznacznie: świat dzieli się na tych, którzy mają pieniądze, i na tych, którzy nie mają. Ci, którzy mają, korzystają z wszystkich praw uważanych za ludzkie, pozostali — bez względu na indywidualną wrażliwość, potrzeby i poczucie godności — są skazani na egzystencję na pograniczu bytu człowieczego i bydlęcego, z której wyzwała ostatecznie dopiero śmierć. Natomiast problematyka filozoficzna dramatu otwiera dzisiaj więcej, mniej jednoznacznych, możliwości interpretacyjnych, toteż częściej przez współczesnych realizatorów ona jest akcentowana.

Tadeusz Minc, realizator „Woyzecka” na scenie Teatru Polskiego, zdaje się również koncentrować na problematyce egzystencjalnej, a zwłaszcza na analizie pewnych tradycyjnych i współczesnych iluzji związanych z pojęciem wolności i godności człowieka. Minc nie rozpatruje tego abstrakcyjnie, ale też nie odnosi do konkretnej rzeczywistości społecznej. Jego Woyzeck, choć chodzący po ziemi, na której rozkwitł kult Maryjny, wydaje się obywatelom znacznie większego wycinka świata, może nawet świata całego? Jest dzieckiem nie jakiejś przestrzeni, ale jakichś — wiadomo jakich: dzisiejszych — czasów. Świat ten jest rzeczywistością uteatralizowaną, reżyserowaną przez pozornych protagonistów, którzy jednak solidarnie — choć każdy na swój sposób — robią Woyzeckowi wodę z mózgu. W świecie tym zaciera się granice pomiędzy fikcją a rzeczywistością. Co zresztą dla jednych jest elementem gry lub eksperymentu, dla innych jest jedynym realnym życiem jednostkowym i rzeczywistym szczęściem albo tragedią.

Woyzeck żyje zamknięty w świecie przykrytym przezroczystym kloszem. „Słyszysz głosy”, próbuje się skontaktować z tym, co na zewnątrz, ale to niemożliwe. Może to zresztą tylko chorobliwe urojenia? Zapewne urojenia. Nie jest natomiast urojeniem jego miłość i nienawiść, moralny i fizyczny ból zadany mu przez Tamburmajora, ani jego reakcja, czyn zrozumiały, acz naprawdę zbrodniczy. Tak to może wyglądać z perspektywy Woyzecka. Bo nam, widzom, reżyser zapewnia inną optykę. My patrzymy na to z perspektywy Pana Boga. A z tej perspektywy odsłaniają się różne kulisy uteatralizowanego świata pod szklanym kloszem. Patrząc z góry, widzimy Woyzecka jako przedmiot wielorakiej, z kilku kierunków sterowanej manipulacji. Nawet to, co jest dla Woyzecka najrealniejszą rzeczywistością, też bywa tylko skutkiem zewnętrznych manipulacji. Jest to bardzo drastyczna i wstrząsająca wizja. Czy to już nasz świat, czy dopiero świat przyszłości? Biedny Woyzeck, który stale się spieszy i za dużo myśli, tresowany, ugniatany, urabiany, wpleciony w tryby

sprawnie działającej maszyny, takiego pytania nawet nie jest w stanie postawić.

„Człowiek jest wolny. W człowieku indywidualność dojrzenia do wolności” — słyszy Woyzeck dokoła, ale nawet tego poprawnie powtórzyć nie potrafi. Bo to nie o nim i nie jego słowa. Jego los raczej oddaje bajeczka, przeznaczona dla jego dziecka:

„Było sobie raz biedne dziecko i nie miało ojca i matki, bo wszystko umarło i nikogo więcej nie było na świecie. Wszystko umarło, więc ono chodziło i szukało dzień i noc. Ale że na ziemi nikogo nie było, chciało iść do nieba. Księżyc popatrzył na nie tak mile. Ale kiedy doszło do księżyca, zobaczyło, że był to kawałek spróchniałego drzewa. Więc poszło do słońca, ale słońce było tylko zwiędłym słonecznikiem. A kiedy poszło do gwiazd, zobaczyło, że to małe muszki wbite na kolce przez ciernika. A kiedy chciało powrócić na ziemię, ziemia już była tylko przewróconym garnkiem. I było całkiem smutne. Więc usiadło i płakało, i dotąd siedzi jeszcze, i jest całkiem samo”.

Mamy w Teatrze Polskim ważne przedstawienie. Prócz walorów intelektualnych posiada walory widowiskowe. Zrealizowane na scenie zaaranżowanej tak, jakby była luźną repliką widowni (łącznie z balkonem). Dramat Woyzecka toczy się na ożywionym tle cyrkowych występów, nieustających parad i ćwiczeń wojskowych, taneczno-alkoholowych amoków i taria, pobożnych procesji. Mimo to, a może właśnie dlatego, Woyzeck jest na tej wielkiej scenie przeraźliwie sam.

Gra go aktor młodego pokolenia Stanisław Melski, bardzo trafnie obsadzony nie tylko ze względu na warunki zewnętrzne. On swego bohatera naprawdę czuje i rozumie — instynktownie, i tak właśnie chyba powinno być. Można by spekulować, ile by rola zyskała, gdyby Melski dysponował bogatszym i bardziej zróżnicowanym warsztatem dramatycznym, ale kto wie, czy wtedy nie przysłałby w nim wewnętrzny ogień.

Znakomitym osiągnięciem może się poszczycić Grażyna Krukówna w roli Marii, roli pomyślanej skomplikowanie, bo rozpiętej pomiędzy dziwkarstwem a nieomal uświęceniem. Parę pozornych protagonistów, manipulujących bohaterem, grają wyraziście Igor Przegrodzki i Ferdynand Matysik. Ciekawie pomyślał rolę obłąkanego Karla Zdzisław Sośnierz, ale — uważam — powinien znaleźć sposób, żeby ważny tekst jego bajki naprawdę dotarł do widowni.

Są w przedstawieniu ciekawe role drugoplanowe i epizodyczne, co — przynajmniej dla mnie — bywa znakiem artystycznej rzetelności przedsięwzięcia. Zapamiętałem z tego planu Mirosławę Lombardo, Halinę Smiełą-Jacobson, Aleksandra Wysockiego, a nawet niektórych statystów.

Mogę więc polecić bez wahań to przedstawienie prawdziwym miłośnikom teatru. Zniechęcam zaś wszystkich intelektualnie leniwych oraz tych, którym obojętne jest, po co żyją lub ku czemu zmierza świat, byle mieli co do garnka włożyć i realne perspektywy na własny samochód.

Teatr Polski we Wrocławiu: „Woyzeck” Georga Büchnera w przekładzie Jerzego Liberta i Ryszarda Ziobry. Opracowanie tekstu i reżyseria: Tadeusz Minc. Scenografia: Wojciech Jankowiak i Michał Jędrzejewski. Układ tańców: Wojciech Misuro. Muzyka: Zbigniew Karnecki. Premiera 22 maja 1983.



Rys. Jules Stauber